

BIBLIOTECZKA ŻOŁNIERZA  
KORPUSU OCHRONY POGRANICZA

Nr. 17

2044

KONRAD  
JOTEMSI

Kolekcja Sebastiana Nowakowskiego

NA  
ZASADZCE  
PATROLU

WARSZAWA 1937

## OBOWIĄZEK NADE WSZYSTKO

Martwa cisza panowała w strażnicy Wydmuchy. Rozprażone słońcem powietrze stało nieruchomym słupem nad jej białymi, murowanymi ścianami i czerwonym dachem. Strażnica była nowa, więc zaledwie kilka grządek z warzywem i kwiatami; zdołano wrychtować przed latem. Od rzeki dzieliło ją ze trzy kilometry ścieżką, pozabawioną krzty cienia, więc nikomu nie chciało się w taki upał po nużącej służbie biec do wody, aby w drodze powrotnej nowym okryć się potem.

Starszy strzelec Książek, zwany zazwyczaj „starszym frajtre”, wstał, wściekły, ze swego łóżka. Nie mógł spać — tak znęcały się nad nim muchy.

— Cholery na nich, na tych gadów, nie ma! A mowilem — kupić lepu!

— Niby z czego? — odezwał się z sąsiedniego łóżka któryś z kolegów. — Czy masz za wiele pieniędzy? Dużo ci ten lep pomoże? My tu i siatkę w oknie kuchni zawiesili, i codzień galezi muchy wypędzamy, ale tyle to pomaga, co umarłemu kadzidło...

Książek wyszedł na próg, rozejrzał się, powoli kierując się ku widniejącej w polu kępie brzeziny. Droga

toczył się kłąb kurzu. Przez zwykłą ciekawość ludzi odosobnionych od większych ośrodków życia, Książek zatrzymał się i po chwili zrównał się z nim wóz jadący w kierunku granicy. Na wozie siedział mężczyzna i dwie kobiety.

Starszy strzelec uśmiechnął się szeroko:

— Panna Małgosia na pole jedzie?

Wóz się zatrzymał.

— A tak, chce pomóc przy zwózce zboża. A pan dokąd?

— Przespać się trochę. Na strażnicy gorąco i muchy spać nie dają.

Dziewczyna, przykrywając oczy dłonią, spojrzała na słońce.

— Długo pan tam zabawi?

W zrenicach Książka zapaliła się radość, wnet zgaszona przez niedowierzanie.

— Dó zmroku.

Tymczasem woźnica, znudzony przeciągającą się rozmową, machnął batem i konie, oganiając się od złych bąków, ruszyły. Z narastającego tumanu kurzu doleciał jeszcze głos Małgorzaty:

— To proszę zaczekać na mnie. Może przyjdę!

Starszy strzelec Książek stał z czapką w ręce pośrodku drogi i patrzył w ślad przez długą chwilę. Potem strzepnął palcami i ruszył do brzezinki.

Nie spał tam, póki nie znalazł jakby wymarzonego



Wóz się zatrzymał.

na tajemne spotkanie miejsca. Była to kotlinka, obrzeżona starymi brzożami. Na dnie, porośniętym mchem i borowiną, rozpościerał się suty krzak jałowca. Panującą tu ciszę przerywały jedynie niezmordowane trzmiiele, z wielkim brzękiem oblatując kotlinkę. Coraz któryś siadał na ziemi lub mchu i, zagłębiwszy łepkę, szukał czegoś, wwiercał się w głąb, aby po chwili, wydobywszy się, powtarzać swą pozornie bezowocną pracę.

Książek zrazu skracał czas oczekiwania śledzeniem owadów, potem zaczęły go morzyć cisza, upał i zapach wędnących liści — swoisty zapach lasu na początku jesieni. Zasnął. A kiedy obudził się nagle i jakby trwożnie, słońce chowało się za widnokrzgiem i ze wsi słychać było ryk spędzanego z pastwiska bydła. Zarazem zegarek powiedział starszemu strzelcowi, że jest już późno i że nie rozporządza więcej, aniżeli trzema kwadransami czasu.

Książek chodził tam i z powrotem po szczupłej przestrzeni kotlinki, wreszcie, widząc, że szybko zmierzcha, wybiegł niecierpliwie na skraj brzeziny i patrzył pilnie w kierunku wsi. Kto wie zresztą, skąd dziewczyna mogła nadejść? Może z pola, może od granicy?

Dłużej nie wolno było czekać. Na powrotną drogę zostało pięć minut i aby w porę zdążyć, należało biec. Uczynił to i rozczarowany, zły, zziębnięty dopadał już ogrodzenia strażnicy, kiedy przed bramą mignęła biała sukienka Małgorzaty.

— O, pan dopiero wraca?

Było już ciemno, więc nie widział wyrazu jej twarzy, a z brzmienia głosu nie mógł wymiarkować, czy jest to współczucie, czy ukryte kpiny.

— Bo ja, widzi pan, nie mogłam przyjść, nie zdążyłam i chciałam pana za to przeprosić.

Książek wprost fizycznie czuł, jak upływała każda minuta i spalał się z niecierpliwości: z dowódcą strażnicy nie było żartów. Z drugiej strony Małgorzata była tuż, obok, można było dotknąć jej ręką, można było wytargować może jakieś małe ustępstwo za dzisiejszy zawód...

— No dobrze, więc może zobaczymy się kiedy indziej? — zmierzał wprost do celu.

— Zgoda. Ale gdzie? W tej brzezince nie chcę. Dziwnie mi przypomina cmentarz... Może tam na rozstajnych drogach?

— Gdzie? Tam? To przecież nad granicą. Tam zasadzka, tam patrole chodzą...

— Ach tak?... To może przy tym małym stawku, na prawo od strażnicy?

— Nie, nie. Ależ pani wybiera miejsca! To jest pas nadgraniczny. Zarazby na nas patrol wpadł!

— Więc ja się namyśle i pana zawiadomię. Do widzenia!

Był prawdziwie rad, że wreszcie został sam i mógł kopnąć się na strażnicę. Szczęściem plutonowy — do-

wódca strażnicy zajęty był przyjmowaniem telefonogramu i spóźnienie Książka jeszcze tym razem uszło mu na sucho.

Mijał dzień po dniu, a o Małgorzacie wszelki śluch zaginął. Wracając ze służby, pierwszymi słowami Książka było:

— Czy był kto do mnie?

Na co padały najeźsiej niecenzuralne odpowiedzi lub dowcipuszki w rodzaju: —

— Była — opuszczona matka z siedmiorgiem dzieci! — lub

— Nie była, ale telefonowała, że na pewno przyjdzie!

Więc Książek kręcił się koło strażnicy, wybiegał na drogę, lustrował powracające z pola fury — na próżno. Wreszcie wybrał się na wieś, ale tam mu odpowiedziano, że Małgorzata często teraz jeździ do miasteczka, trudno ją zastać.

Jeszcze kilka razy ponawiał bezskuteczne próby, lecz dziewczyna była nieuchwytna. Wreszcie skwitować musiał z wszelkiej nadziei. I w miarę, jak nadzieja zanikała, coraz wyraziściej występował obraz Małgorzaty: wysoka, miała włosy barwy dostatego żyta, duże niebieskie oczy, mały, prosty, zgrabny nos, drobne ręce i mocne, sprężyste nogi. Wogóle była cała mocna. Uścisk jej dłoni był prawdziwie męski, w przeciwieństwie do innych dziewcząt wiejskich, poda-



jących rękę tak, jakby się tego wstydziły. Przy tym wszystkim w oczach miała coś nieuchwytnego, coś, co nie pozwalało jej na wytrzymanie chociażby przez krótką chwilę innego spojrzenia. No, ale to się zdarza u ludzi często... Książek widział ją zaledwie kilka razy. Podobiała mu się szalenie i wiedział, że i on nie jest jej obojętny, jednakże okazji do spotkań było tak mało. Teraz zaś...

Nastała jesień. Dzień w dzień lały deszcze. Świat spochmurniał, zbrzydł, drogi stały się trudne do przebycia, służba bardziej uciążliwa, życie mniej łatwe. Jedno tylko pozostało bez zmiany: wspomnienie o dziewczynie z włosami barwy dojrzalego zboża.

Jednego dnia samopoczucie Książka było szczególnie złe. Łaził po strażnicy, jak mucha po lepie. Wszystko wypadło mu z rąk. Wreszcie nadeszła nań kolej iść na patrol graniczny. Wyszli we dwóch. Siekły drobny, przenikliwy, zimny deszcz, lało się z okapów i z drzew, pryskało spod nóg. Pies by w taką pogodę z budy nie wyjrzał, a tu idź!

Podniósłszy kołnierze płaszczów, skuleni, brnęli obaj wydeptaną przez patrolę ścieżką, która tuż nad rowem granicznym gubiła się w gąszczu leszczyzny.

Nagle zdało się Książkowi, że coś mignęło w wąskiej wyrwie między dwiema ścianami zielonej gęstwiny. Stał, wyciągając słuch i wzrok. Deszcz szumiał po gałęziach.

Przywarowali za drzewami — znów! I zanim zdolali powziąć jakieś postanowienie, w odległości około 30 kroków rozchyliły się krzaki i na ścieżce stała postać kobiety z niewielkim tobołkiem na plecach. Rozglądała się czujnie, a kiedy zwróciła głowę w kierunku ukrytych strzelców, Książek drgnął. Karabin chybotnął się w zdrewniałych rękach. Chryste! Ta blada twarz należała do Małgorzaty!

Należało działać. Za chwilę dziewczyna wsiąknie w zwarty gąszcz leszczyzny. Ale Książek oniemiał. Inicjatywę zatem przyjął w swe ręce jego towarzysz. Krzyk: „Stój! Ręce do góry!“ rozdarł powietrze.

Jakiś objuczony mężczyzna rzucił się do ucieczki, z łomotem przedzierając się przez krzaki.

— Łap dziewczynę, ja skoczę za tamtym! — krzyknął kolega Książka, rzucając się w pogoń.

Książek powoli, z karabinem na pogotowiu, zbliżał się do Małgorzaty. Czuł się tak, jak po 50-kilometrowym marszu. Nie spuszczał z dziewczyny oczu, a i ona patrzyła na niego, nie był to jednak strach, lecz jakby ciekawe oczekiwanie.

Podszedł zupełnie blisko i, oblizując zeschnięte wargi, powiedział cicho: — A więc to pani bawi się... w przemytnictwo... Proszę za mną...

— Dokąd? — zapytała równie cicho.

— Na strażnicę.

— Na strażnicę? Czy pan zwariował? Mnie? Pan?



Wyciągnęła do Książka wilgotne od deszczu ręce.

— Tak, panią. Służba — nie drużba...

Opuściła tobolek na trawę i wyciągnęła do Książka wilgotne od deszczu ręce. — Miły... No, co ci za głupstwa po głowie chodzą... Puść, powiesz żem uciekla. Potem przyjdę do ciebie — dokąd zechcesz i ile razy zechcesz.

Nie przeczuwała, jak dalece odstręczyła od siebie tym powiedzeniem Książka... Więc ona może tak każdemu, po tej i po tamtej stronie, płaci za tego rodzaju usługi — sobą... pomyślał. Odsunął delikatnie wyciągnięte ku sobie ręce.

Niech pani zabiera tobolek i idziemy. Nie ma czasu! — powiedział stanowczo.

Małgorzatę jakby giez uciął. Poczzerwieniła, chustę poprawiła pod brodą.

— To ja do niego, jak do dobrego, a on furt swoje: „Na strażnicę, na strażnicę...” — przedrzeźniała go. — Nie pójdę na strażnicę. Idź pan sam — razem z tobolekiem! — rzuciła mu go pod nogi, zbierając się na serio do odejścia.

Poniosło i starszego strzelca Książka. — Ja do pani grzecznie, a pani fochy stroi! No, jazda napróżd! — a że opierała się, nie wiele myśląc złapał ją pod pachę i niósł, wierzgającą i miotającą wyzwiskami.

— Dość już! Puść pan, sama pójdę! — krzyknęła wreszcie.

Postawił ją na ziemi i oddał tobolek. Szła przodem z pochyloną głową, milcząca, zrezygnowana.

Książek w zamyśleniu patrzył na wymykający się spod chustki pukiel włosów, koloru dostalego żyta...

**Kolekcja Sebastiana Nowakowskiego**